

pozwolenie na wyjazd. Ubożsi pragnęli otrzymać kartę bezpłatnej jazdy koleją.

Cały ten tłum różnolity zespolony był jednym jedynym pragnieniem: wrócić, jak najprędzej wrócić do domu! Nie obawiali się zniszczenia, chorób, zarazy, drożyzny, nie lękali się niczego, chcieli tylko wrócić na swoją ziemię.

— Niech pan patrzy — zawołał młody na literata wyglądający mężczyzna, ze szczupłą, ściągniętą twarzą, okoloną jasnym zarostem — jak ci nasi ludzie, rozgorączkowani pragnieniem powrotu, zadają kłam przypuszczeniem i obawom obcej prasy, która przez jakiś czas rozpisywała się szeroko na ten temat, że fala wychodźstwa polskiego, która zalała ziemie czeskie i niemieckie kraje Austrii, może nie zechce odpłynąć. Płonne obawy „gościnnych” panów. Kto tylko będzie mógł, wyjedzie. Choćby na nędzę, na biedę, na chorobę, ale powróci.

Towarzysz szczupłego blondyna, poważny, siwiący mężczyzna, skinął głową.

— Tak, tak, ma pan rację. Wartoby o tem do dzienników napisać. Niech pan, panie kochany napisze.

— Postaram się.

Przez tłum przeciskał się z powrotem stary Gilewski.

Pomimo, że dzień był ciepły, słoneczny, prawdziwy letni, miał on na sobie swoje zniszczone palto zimowe. Widocznie ubranie jego nie znosiło jasności dnia.

W tej chwili twarz Gilewskiego nacechowana była wyrazem rozpaczliwego smutku. Nie trudno było odgadnąć, że starego artystę spotkała jakaś wielka przykrość.

— Panie Gilewski — zawołał ów szczupły, jasnowłosy literat — cóż u pana słychać? Dawno nie widzieliśmy się? Czy i pan już wyjeżdża?

Gilewski przesunął ręką po oczach silniej niż zwykle zaczerwienionych.

— Chciałem panie wyjechać — rzekł drżącym głosem — ach! Jak ja bardzo chciałem, ale nie pozwolili mi...

— Dlaczego?

— Królewski jestem, więc internowany...

— Ach! Prawda...

Stary kiwał smutnie głową.

— Już mi tu chyba umrzeć przyjdzie na obcej ziemi, już może nie zobaczę naszych łąków, dojrzewających zbóż, nie podumam w cieniu katedry Wawelskiej, nie posłyszę hejnału z wieży Maryackiej... Zostanę tutaj jak pies bezpański, samotny, opuszczony... Nie pozwolili... No tak, taki przepis... Słyszałem jednak, że niektórzy Królewscy otrzymali pozwolenie. Wspominałem o tem urzędnikowi na policyi... Odpowiedziano mi, że tylko tacy, którzy mają stałe zarobki i zajęcie... Prawda, ja stałego zarobku to nigdy nie miałem, a zajęcie, pożałuj Boże, co to za zajęcie... Chodzić po redakcyach i smarować ilustracje na obstalunek. Nic dziwnego, że policya nie pozwoliła... Mógłbym przecież, panie tego, ciężarem być... Chociaż gdybym był młodszy, energiczniejszy i umiał chodzić za tem... Inb gdybym miał jakąś protekcję...

— O protekcję można się będzie postarać! — wtrącił skwapliwie blondyn.

Gilewski energicznie wstrząsnął przecząco głową.

— O! Nie panie! Nie chcę protekcji. Będę czekał, dopóki się co nie zmieni, albo śmierć po mnie nie przyjdzie... Aha! Prawda, przypomniałem sobie... Opowiem panu coś... Bo to pan radził mi kiedyś, abym się udał po jakąś zapomogę, protekcję, czy coś podobnego. Opowiem panu więc, co mnie spotkało. Czy pan czeka tutaj na kogo?

— Właściwie nie.

— To może pójdziemy ku miastu. W drodze opowiem panu.

— Wie pan — zaczął swoje opowiadanie Gilewski — to było tak. Dowiedziałem się, że tam do tego „komitetu pomocy” przysłano ze Szwajcaryi większą sumę dla niezamożnych artystów-malarzy polskich, przebywających w Pradze. Wprawdzie z artyzmem to już człowiek dawno zerwał, ale przecież kiedyś malowało się coś naprawdę, podobno nawet niezłe, ludzie nazywali i gazety pisały „artysta-malarz”, więc poszedłem. Głupstwo zrobiłem przynajmniej... No, spodłał człowiek w tej biedzie... Poszedłem... Widzę siedzi sobie tam przy stole jakiś siwy, chudy pan z taką twarzą, co to w niej ani wyrazu, ani kolorytu, ani rysunku. Ano nic, myślę sobie, przecie nie model dla malarza. Opowiedziałem mu wszystko, po co przyszedłem, a on patrzy we mnie takim jakimś tępym wzrokiem i nie mówi nic. Gdyby mi był powiedział: „Panie, jesteś pan nędzny rzemieślnik, a nie żaden artysta malarz, zgoda. Gdyby mi był powiedział: „zapracuj pan, jeszcze masz siły i zdrowie, te pieniądze to dla nieszczęśliwych od ciebie”, zawstydzilibym się i odszedłbym cicho. Ale wie pan, co mi powiedział?

— Ciekaw jestem.

— Pyta się mnie, skąd jestem. „Z Polski naturalnie”, powiedziałam. „Ale ja pytam: z jakich okolic?” „Przed wojną mieszkalem stale w Krakowie”. „A to pan przynależny do Krakowa?” pyta on dalej. „Nie, mówię, bo jestem Królewskim, pochodzę z ziemi kieleckiej”. A on mi na to: „A kiedy tak, to pan nic dostać nie może. My dla Królewskich nie mamy. My mamy dość swoich z Galicji”.

— Osiół! — wykrzyknął oburzony towarzysz Gilewskiego.

— Oslupiałem w pierwszej chwili, myślałem, że mnie uszy mylą. Wreszcie złość we mnie zawrzała. Miałem już tego dosyć, więc pytam ja z kolei: „Czy wolno zapytać, kim pan jest?” Spojrzał na mnie, jak na waryata i z irytacją odpowiedział: „Ta co się pan pyta, jestem radca Spiączka”. „Ale ja pytam o narodowość?” „Ta zwaryował pan czy co! Naturalnie, że Polak”. „Tak? Polak? — ja mu na to — Nigdybym tego nie przypuścił, w każdym razie nie jeden z tych, którzy łamią rękę, wołając: „nie mogę znaleźć drogi do Polski”, bo pan już znalazł swoją Polskę!” Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. A niechże ich z ich pomocą, zapomogami, protekcjami i rozróżnianiem Polaków galicyjskich i nie galicyjskich!

— Ależ panie! Toż nie wszyscy tacy! Że też właśnie trafił pan na tego starego idyotę Spiączkę, który zeszytywniał zupełnie, zeskorpował w swoim dogmatyzmie biurokratycznym.

— A niech tam! Wszyscy czy nie wszyscy... Już ja do nich po żadną protekcję ani pomoc nie pójdę... Tylko, panie, ja jechać chciałem... do Polski... do Krakowa... Nie pozwolili!

— Pozbyłam się kłopotu — rzekła pani Krystyna wieczorem do siostrzenicy — mam już nowego rządcę.

— Tak prędko? — zdziwiła się Anielka — Gdzie go ciocia znalazła? Kto to taki? Kto go polecił?

— Bardzo przyzwoity człowiek z odpowiednimi kwalifikacyami. Polecił mi go Koncewicz, on jako agronom jest kompetentny.

— Hm... Koncewicz...

— O! Moja Anielko, już widzę, że znowu chcesz oponować. Ale nic z tego! Ja jestem taka szczęśliwa, że już mam tego rządcę. Gdzie ja mam czas myśleć o takich rzeczach.

Istotnie, jakże mogła pani Krystyna zaprzętać sobie głowę rządcą i gospodarskimi kłopotami, kiedy myśl jej pracowała nad tem, jakby najpiękniej i najartystyczniej skombinować bukiet z róż dla Walczaka, który dzisiaj powiedział, że róża to jego kwiat ulubiony.

Anielka westchnęła cichotko. Ze znalezieniem rządcy rozwiązała się jej ostatnia nadzieja, że uda się nakłonić ciotkę do rychłego powrotu do Zalesinek.

## ROZDZIAŁ XVIII.

— Jasiek!

— Kazik!

— To ty?!

— Zyjeś?!

— Jak widzisz!

Takie wykrzykniki krzyżowały się z błyskawiczną szybkością, kiedy Jan Krzycki zjawił się u łóżka przyjaciela swego Kazimierza Walczaka.

Z pułku doniesiono mu, że chorąży Walczak żyje i znajduje się w szpitalu w Pradze. Krzycki czem prędzej więc odszukał przyjaciela.

Przybycie Krzyckiego przerwało czytanie pani Krystynie, która właśnie bawiła rannego głośną lekturą tryskającą iście amerykańskim dowcipem humoreski Twaina.

Pani Wolska, widząc serdeczne powitanie przyjaciół, podniosła się natychmiast z krzesła.

— Nie chcę przeszkadzać — rzekła — w pofnej przyjacielskiej pogawędce, więc odchodzę. Do widzenia, panie Kazimierzu, proszę tylko nie mówić zbyt dużo, żeby gorączka nie wróciła...

— Dziękuję pani za czytanie i za kwiaty i za wszystko — rzekł serdecznie Kazimierz — Pani przyjdzie jutro, nieprawdaż?

— Przyjdę.

Niebieskie, wypłowiałe już nieco oczy pani Krystyny obrzuciły głowę Kazimierza tak tkliwym spojrzeniem, że nie mogło to ująć uwagi spostrzegawczego Krzyckiego.

Porucznik uśmiechnął się lekko.

Kiedy pani Wolska zniknęła za drzwiami, Krzycki zagadnął zaraz przyjaciela:

— Czy ta pani często cię odwiedza?

— Codziennie prawie. To anielska jakaś istota. Poprostu psuje mnie swoją dobrocią. Przynosi mi kwiaty, owoce, ciastka, książki, gazety — czyta mi

głośno, jednym słowem otacza mnie tak troskliwą opieką, jakbym był jej bliskim krewnym... Doprawdy nie wiem, czem sobie zasłużyłem na tyle troskliwości z jej strony...

— Tak... A czy wiesz, kto to jest?

— Niejaka pani Wolska, właścicielka ziemiska. Więcej nic nie wiem prócz tego, że jest idealnie dobra.

— Czy jej nazwisko nic ci nie mówi?

— Nie. Skądżeby. Wolscy to nazwisko u nas tak pospolite, jak w Niemczech Müller lub Kunze, czy też jakieś szlacheckie von Arnim.

— Więc ty jej poza szpitalem nie znasz zupełnie?

— Nie, ale dlaczego mnie wypytujesz o to?

— Tak sobie... byłem ciekawy...

— Powiedz mi jednak, mój Jaśku — zaczął Kazimierz — jakim cudem dowiedziałeś się, że żyję i tutaj w Pradze w tym szpitalu przebywam?

— Dowiedziałem się tego drogą bardzo prostą. Zwrócono mi na to uwagę, że twoje przeczucia śmierci mogły być zawodne!... Napisałem więc do pułku, zapytując o ciebie... Nie odpisywali mi długo, nareszcie przedwczoraj otrzymałem twój adres... Odszukałem cię i jestem...

— Powiedz mi, co się stało...

— Pozwól, że ci przerwę — wpadł mu w mowę Jan — Wiem, że czego innego chciałbyś się ode mnie dowiedzieć, ale ja jak wiesz, byłem zawsze egoistą, więc zacznę znowu tym razem od siebie. Kaziu, wyobraź sobie, że ja żenię się i to już w najkrótszym czasie.

— Co?! Ty się żenisz, Jaśku! Co za nowina! Z kim?!

— Kaziu, czy pamiętasz moje zwierzenia owej nocy pamiętnej przed bitwą, w której obaj zostaliśmy ranni?

— Ależ pamiętam każde słowo!

— Więc z nią!

— Odnalazłeś ją, nie zapomniiała? przebaczyła?

— Odnalazłem ją, nie zapomniiała, przebaczyła — powtórzył jak echo Krzycki — Miałeś słusność, Kaziu, nie wszystkie kobiety są jednakowe...

— O wiem o tem... I moja Anielka... Jaśku, chyba nie wątpisz o najszczerzych życzeniach moich... Chciałbym bardzo poznać twoją narzeczoną, przyjdź z nią do mnie... Ja jeszcze długo pewnie nie będę mógł wychodzić... Ale teraz proszę cię, powiedz mi, czy otrzymałeś drobiazgi, które ci przez pewnego żołnierza posłałem.

— Otrzymałem — odparł krótko Krzycki.

— I coż z nimi zrobiłeś?

— Przesłałem je tej, dla której były przeznaczone...

— Więc odszukałeś ją?!

— Przypadkiem.

— Gdzie ona jest?! Jaśku, mów?!

— Kaziu, spokoju! Nie gorączkuj się, a wszystko ci powiem... Ona jest tutaj w Pradze.

Kazimierz zerwał się na łóżku.

— Co?! co?! Anielka tutaj w Pradze?! I ty mi tego odrazu nie powiedziałaś! Więc poznałeś ją?

— Osobiście nie!

— Jaki to nie! Więc jakim sposobem oddałeś jej te rzeczy! Jaśku, ty się bawisz w jakieś zagadki, a mnie to męczy!

— Proszę cię, nspokój się, połóż się, bo możesz sobie zaszkodzić. Opowiem ci wszystko od początku.

Jan poprawił poduszki Kazimierzowi, który osłabiony zsunął się znowu na posłanie.

— Więc przedewszystkiem — zaczął Krzycki — zdradzę ci jedną tajemnicę, która, przypuszczam, że cię zainteresuje: Otóż dowiedź się, że ta tak łaskawa na ciebie pani, która cię codziennie odwiedza, to ciotka panny Anielki Zurakowskiej.

— To ciotka Anielki?! Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy. Znam panią Wolską dobrze z widzenia.

— Ależ ona chyba nie wie, kim ja jestem!

— Najprawdopodobniej, a właściwie z wszelką pewnością — nie! Nie widzę też powodu, dla którego miałbyś jej to mówić. Jak sam mi wspominałeś, sprzeciwiała się ona twoim zaręczynom z jej siostrzenicą i nie chciała cię nawet poznać. Słyszałem już tutaj w Pradze od dobrze poinformowanych osób — Krzycki miał na myśli Hanke i Stasię — że usposobienie jej względem ciebie wcale się nie zmieniło.

— Pani Wolska okazuje mi wiele, bardzo wiele sympatii...

— Powiem otwarcie, że jak na ciotkę i opiekunkę dorosłej siostrzenicy, to nawet za wiele...

— Jak to rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi.)